

Rozdział I Wierność Ewangelii

Czy Polak to Polak?

Jaki z niego Polak, jaki chrześcijanin? Suspendować tego pacana!

To lewak, który szkodzi naszemu Kościołowi. Jakie ma on zasługi dla Kościoła?

Dlaczego tak bezideową postać wybrano na prymasa?

Zwykły karierowicz, ustawia się z wiatrem z Watykanu. A że naszym, chrześcijaństwa i cywilizacji kosztem, to co ich tam...

Hańba, prymasie Polaku, hańba i wstyd!

To niektóre z wielu podobnie brzmiących wpisów po wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” z jesieni 2017 roku, w którym Ksiądz Prymas jednoznacznie opowiedział się za przyjmowaniem uchodźców. Jak się z tym Ksiądz Prymas czuje?

Jeżeli komentarze są nieuczciwe czy obraźliwe, jeżeli ich autorzy twierdzą, że nie mam prawa się wypowiadać, że zdradziłem Polskę i chrześcijaństwo, że wkładam oręż do ręki wrogom Kościoła – to widzę, jak boleśnie w tych wpisach odzwierciedla się podział naszego narodu i społeczeństwa. Agresja, która narasta. Brak wzajemnego poszanowania i niechęć zrozumienia bliźniego.

Cytuję tylko internetowe komentarze bez grubszych wulgaryzmów, na użytek książki poprawiam koszmarną ortografię i interpunkcję: „No pięknie, mamy prymasinę lewaka. Niech od razu powie, że jest mułłą, a nie księdzem katolickim”.

Tak, jasno opowiedziałem się za przyjmowaniem uchodźców. I powtarzam, że wynika to wprost z Ewangelii. To nie jest opcja, którą chrześcijanin może przyjąć bądź odrzucić, ale samo sedno nauczania Jezusa Chrystusa. Jeżeli chcesz naśladować Mistrza z Nazaretu, powinieneś iść Jego drogą. Każda inna powiedzie cię na manowce, może nawet do zguby. Często się zastanawiam, dlaczego tylu naszych rodaków uważa uchodźców za obcych, którzy przyjdą odebrać im miejsce. Będą kraść, gwałcić i mordować.

Jaka jest odpowiedź?

Może mamy za niskie poczucie własnej wartości, zbyt słabą i płytką tożsamość. To zresztą symptomy typowe dla współczesnego świata – płynnego, niestabilnego, niepewnego. Niby czujemy się ważni i silni, dużo i głośno krzyczymy, ale w środku bardzo się boimy; drżymy o naszą przyszłość.

Ale czego boi się człowiek, który pisze: „Ten szmaciarz, pseudo-Polak powinien zniknąć wraz z jego prywatnym Kościołem; to nie chrześcijaństwo, tylko jakaś proislamska, antypolska sekta o tendencjach do samozagłady. Powinien być sądzony”?

Taki człowiek uważa, że ma prawo nie tylko bronić swoich przekonań, ale też arbitralnie wyłączać innych ze wspólnoty, z Kościoła czy narodu. Jeżeli za takimi stwierdzeniami nie kryją się choroba albo patologia, to, mówiąc delikatnie, mamy tu do czynienia z brakiem elementarnego szacunku i pomieszaniem podstawowych pojęć. Zadaniem biskupa jest wraz z Kościołem, w duchu Ewangelii, odczytywać znaki czasu. Oczywiście inną wagę ma papieska encyklika czy wygłoszona w katedrze homilia, a inną – wywiad, w którym odpowiadam na

konkretne pytania. Ale to nie znaczy, że obie przestrzenie się rozjeżdżają, że pozbawione są części wspólnej. Odnosząc się do uchodźców – nie głoszę moich prywatnych poglądów, ale przypominam nauczanie Kościoła. Tylko tyle i aż tyle.

A co Ksiądz Prymas powiedziałby autorowi innego komentarza: „Prymasiku, już ty mnie w kościele nie zobaczysz”?

Człowiek ogłasza, że odchodzi z Kościoła z mojego powodu... Ja nikogo nie wyrzucam, tylko zachęcam do zastanowienia, do opamiętania. Jeżeli są ludzie, którzy nie chcą, żeby Polska przyjmowała uchodźców – na pewno w naszym Kościele, pełnym różnych nurtów i odcieni, znajdą dla siebie miejsce. Pragnąłbym, aby zmienili zdanie, ale to nie znaczy, że muszą natychmiast porzucić wspólnotę, ani że należy ich ekskomunikować. Chrześcijaństwo jest drogą, a nie metą – katolik przez całe życie, aż do śmierci się nawraca, bez przerwy boryka się z fałszywymi wyobrażeniami i własnymi słabościami.

Gdy zatem człowiek nie rozumie, że ze swoimi poglądami nadal mieści się w naszym Kościele – sądzę, że w gruncie rzeczy szuka samousprawiedliwienia dla faktu, że z chrześcijaństwem w ogóle mu nie po drodze; że po prostu odrzuca nauczanie Jezusa o miłości bliźniego. Co innego, gdybym wypowiadał się niezgodnie z nauczaniem Kościoła, każdy miałby wówczas prawo powiedzieć: „Prymas mnie zgorszył, porzucam kłamców i heretyków”. Ale ja mam pewność, że w żadnym razie nie naruszyłem doktryny. Kłopot w tym, że przywoływane przez pana opinie funkcjonują na poziomie emocji, a nie myślenia.

(...)

W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” z ust Księdza Prymasa padły ostrzejsze słowa: „Jeśli ja usłyszę, że w Gnieźnie odbywa się jakaś manifestacja antyuchodźcza i że na to wybierają się moi księża, to mówię krótko: każdy, który tam pójdzie, będzie suspendowany”. Żałuje Ksiądz Prymas tych słów?

Nie żałuję. Na szczęście u mnie w archidiecezji nigdy do czegoś takiego nie doszło i nie sądzę też, aby miało się wydarzyć w przyszłości. Posłużyłem się hipotetycznym przykładem, i to mocnym, żeby uzmysłowić czytelnikom wagę problemu. Mogę to zresztą jeszcze wyostrzyć – założmy, że uchodźca uciekł, żeby ratować własne życie, a nie tylko szukając poprawy statusu materialnego. Jaka jest różnica między człowiekiem, który nie dość, że owego nieszczęśnika nie chce przyjąć, to jeszcze publicznie traktuje z nienawiścią, a tym, który jawnie popiera aborcję na życzenie? W obu przypadkach mamy do czynienia ze sprzeciwem wobec życia.

(...)

Niektórzy powiedzą: dlaczego mamy pomagać obcym, gdy w Polsce wciąż są głodne dzieci?

Są głodne dzieci, są bezdomni, są starsi ludzie, którzy nie mają za co kupić lekarstw. Ale naprawdę nie widzimy różnicy między współczesną Polską a Syrią obróconą w ruiny? Naprawdę chcemy ogłosić światu, że my, Polacy, nie mamy czym się dzielić z innymi? To byłoby obłudne kłamstwo. Choćby ja sam: nie żyję w luksusie, ale w żadnym razie nie przymieram głodem. I powiem otwarcie: niepokojem mojego sumienia jest poczucie, że wciąż robię za mało dla bliźnich. Manipulacja słowami kardynała Wyszyńskiego to kolejny przykład myślenia ahistorycznego. Słowa Prymasa z lat 50. minionego wieku bez

zastanowienia przenosi się na Polskę Anno Domini 2018 – wolną i demokratyczną, kwitnące państwo z rosnącym PKB i kilkuprocentowym bezrobociem. Czy nie bronimy osiągniętego dobrobytu za wszelką cenę, po prostu nie chcąc podzielić się z innymi i na siłę szukając usprawiedliwień?

Jeden z internautów pisze: „Myślę, że prymas Polski musi sobie przemyśleć pewne sprawy, przeciw narodowi stawał tylko Jaruzelski, nikt inny się nie odważył”.

Rozumiem, że za chwilę przywoła pan statystyki i wykaże, że większość Polaków nie chce przyjąć uchodźców.

Z reguły grubo ponad 60 procent.

Po pierwsze, z punktu widzenia Ewangelii mogłoby to być nawet 99 proc. – a nauczanie Jezusa o miłości bliźniego, zwłaszcza potrzebującego naszego wsparcia, pozostanie jedyną i prawdziwą drogą do zbawienia. Po drugie, akurat w tym przypadku mamy pozostałe 40 proc. Jeżeli zarzuca mi się, że stoję przeciwko narodowi – chciałbym zapytać, czy sprzeciw wobec przyjmowania uchodźców jest jedynym i najważniejszym kryterium, ostatecznie rozstrzygającym o przynależności do narodu polskiego? Czy czterech na dziesięciu obywateli naszego kraju należy uznać za obcych, odmówić im prawa do wyrażania swoich poglądów, odebrać obywatelstwo i usunąć poza granice państwa?

Po trzecie, trzeba się zastanowić, przeciw komu wypowiada się większość ankietowanych; przeciw uchodźcom uciekającym przed wojną, czy przeciw terrorystom, których przerażający obraz jest nam ukazywany w mediach? Czy tak samo odpowiedzieliby na sondażowe pytanie, gdyby twarzą w twarz stanęli z konkretnym człowiekiem, który na pontonie przypląnął na włoską Lampedusę wraz z całą rodziną?

Cóż, to stara jak świat zasada: łatwo się wypowiada ogólne sądy – a im ostrzejsze, tym z reguły większe samozadowolenie. Dopiero osobista konfrontacja z drugim człowiekiem może osłabić nasze poczucie nieomyślności. Przed laty Amos Oz, izraelski pisarz, opublikował znakomite wykłady o fundamentalizmie, zresztą nie tylko islamskim. Żeby uchwycić jego sedno, przywołał anegdotę o przyjacielu, też literacie, który wracał taksówką ze spotkania autorskiego. W pewnym momencie kierowca oświadczył: „Tych wszystkich Palestyńczyków trzeba wymordować! Nie ma innego wyjścia”. Na co pisarz, zamiast się oburzyć, ucieszył się: „To bardzo dobry pomysł! Zastanówmy się tylko, jak to zrobić technicznie. Kto powinien ich zabijać: wojsko, policja? A może byłoby sprawiedliwie, gdyby każdy z nas zlikwidował po kilku?”. Taksówkarz przytaknął, więc pasażer zaproponował: „Proszę sobie w takim razie wyobrazić, że w bloku w Hajfie zabija pan Palestyńczyków, piętro po piętrze. Gdy już zamierza pan wyjść z budynku po wypełnionym zadaniu, nagle słyhać płacz małego dziecka. Rozumiem, że wraca pan i strzela?”. Zapadła długa cisza, aż wreszcie zirytowany taksówkarz obrócił się do pisarza i powiedział: „Pan jest bardzo okrutnym człowiekiem”.

Pouczająca historia, ale pan wie, że niestety w Polsce niektórzy powiedzą, że to tani, haniebny szantaż emocjonalny. Zdjęcie martwego dziecka wyrzuconego przez morze na plażę – szantaż. Film z obozu dla uchodźców, gdzie ludzie wegetują w trudnych warunkach – szantaż. Mały chłopczyk wyciągnięty spod gruzów zbombardowanego w Syrii domu – szantaż. To nic, że to wszystko są fakty, autentyczna śmierć i autentyczne cierpienie. My nie damy się zaszantażować! Dlatego chciałbym zapytać: czy szantażem emocjonalnym nie jest kreowanie wyobrażeń, że uchodźcy przybędą kraść, mordować i gwałcić? Wmawianie

ludziom, że wszyscy przybysze są potencjalnymi terrorystami? Czy nie tak wyłącza się trzeźwe myślenie i tworzy propagandowe zbitki wywołujące emocje? W zeszłym roku Stalową Wolą wstrząsnęła tragedia; nożownik wszedł do centrum handlowego i zaatakował bezbronnych ludzi, jedna osoba zginęła. Media od razu ogłosiły: szaleniec. Wyobraźmy sobie, że coś takiego zdarzyłoby się we Francji czy Niemczech. Natychmiast, nie czekając na żadne informacje ze śledztwa, ogłoszono by u nas, że to terrorysta.

Gdy w kwietniu 2017 roku doszło do ataku bombowego na autobus przewożący piłkarzy Borussia Dortmund, w Polsce natychmiast mówiono o islamskich fundamentalistach. Tymczasem sprawcą był Rosjanin, który chciał wpłynąć na kurs klubowych akcji. Zapytam jednak w innym duchu: gdyby księża poszli na demonstrację pod hasłem „Nie dla islamizacji Europy, nie dla szariatu w europejskich miastach”, czy Ksiądz Prymas też by ich suspendował?

Na pewno bym nikogo nie suspendował za poglądy, czyli za przeciwstawianie się islamizacji Europy i narzucaniu szariatu. Nie widziałbym w tym nic nagannego. To proste rozróżnienie: protest przeciwko ideologii nie jest wymierzony w konkretnego człowieka – np. uchodźcę, którego się wbrew faktom demonizuje.

A podobałoby się to Księdzu Prymasowi?

Uważam, że duchowny w ogóle nie powinien brać udziału w manifestacjach o wydźwięku politycznym, niezależnie od tego, czy wspierają prawicę, czy lewicę.

(...)

Ale świecki, gdyby poszedł na antyuchodźczą manifestację, powinien się z tego wypowiadać?

Złota zasada brzmi: każdy przypadek należy traktować indywidualnie. O grzechu mówimy wówczas, gdy jest popełniony świadomie i dobrowolnie. Dlatego człowiek sam, w ciszy swego sumienia, powinien rozemnie, czy ma prawo przyjąć Eucharystię. Z całą powagą musi odpowiedzieć sobie na to pytanie, a jeżeli ma wątpliwości, zawsze może poruszyć ten temat w rozmowie ze spowiednikiem – dlaczego w ogóle poszedł na taką demonstrację; przeciwko czemu i komu protestował; czy nie dał się wciągnąć w polityczną grę, która służy podsycaniu nienawiści; obok jakich haseł publicznie maszerował, udzielając im tym samym – chcąc nie chcąc – poparcia. Na marginesie: nie mieści mi się w głowie, by ktokolwiek miał z pełną świadomością i stuprocentowym cynizmem oświadczyć, że poszedł protestować przeciwko cierpiącym ludziom.

Jeszcze raz pragnę z całą mocą podkreślić: nauczanie Jezusa jest wyraziste i nie pozostawia wątpliwości, ale to nie znaczy, że w praktyce dnia codziennego wszystko da się sprowadzić, o czym zresztą wielu z nas by marzyło, do prostych odpowiedzi. Do instrukcji obsługi, która składałaby się z lapidarnych haseł: tak – nie, wolno – nie wolno, dobrze – źle. Kościół wzywa do przyjmowania uchodźców w imię Jezusa, w duchu miłosierdzia, ale zawsze wedle możliwości, zgodnie z procedurami, w ramach określonego porządku prawnego. Tu otwiera się pole do debaty oraz pole do popisu dla ekspertów, dziennikarzy i polityków. Natomiast nie ma i nie będzie zgody Kościoła na wciąganie pomocy dla uchodźców w polityczne rozgrywki.

Polemiści odpowiedzą, że swoimi wypowiedziami Ksiądz Prymas też uprawia politykę.

Proszę wskazać jakąkolwiek moją wypowiedź, która wiązałaby się z poparciem dla któregośkolwiek z ugrupowań politycznych.

To działa niczym nieodparta siła ziemskiego przyciągania: Ksiądz Prymas wzywa do przyjmowania uchodźców odwołując się do zasad ewangelicznych. Ale obecny rząd ze sprzeciwu uczynił swe główne hasło. Zderzenie jest nieuniknione. Pośrednio, nawet wbrew woli mówiącego, słowa arcybiskupa Wojciecha Polaka nabierają wydźwięku politycznego.

Pośrednio... Tak, z pewnością tak. Lecz biorąc pod uwagę reakcje na moje słowa, mógłbym też przywołać zasadę: uderz w stół, a nożyce się odezwą. Nigdy nikogo nie wskazałem palcem, moim zadaniem jest przywoływanie zasad i nauki Kościoła, a tymczasem sami odzywają się ci, którzy uznali się za adresatów moich wypowiedzi. Pamięta pan, jak podczas obchodów trzechsetlecia koronacji częstochowskiego wizerunku mówiłem o ładzie społecznym i konstytucyjnym?

To było 26 sierpnia 2017 roku. Jasna Góra, w pierwszych rzędach zebranych na uroczystości prezydent Andrzej Duda, premier Beata Szydło, marszałkowie Sejmu i Senatu. Ksiądz Prymas mówił w homilii, że dokonując przemiany mamy „zacząć od siebie, a nie od innych. Mamy przy tym szanować porządek i ład społeczny, a nie bezmyślnie go burzyć dla takich czy innych racji. Mamy szanować ład konstytucyjny, który jest gwarantem naszego bycia razem i współlistnienia, a nie nadwyreżać go czy wręcz omijać”.

Wokół tych słów narosło mnóstwo teorii spiskowych. W mediach spekulowano, z kim rzekomo miałem się spotkać przed wygłoszeniem homilii, jaki sekretny plan krył się za moimi słowami itp. To nieprawda. Mówiłem z serca, z głębi nauki Kościoła. Świadomy, że w Ojczyźnie trwa wyniszczający spór polityczny, chciałem przypomnieć o sprawach najważniejszych. Nikogo nie pouczałem z imienia i nazwiska, nie atakowałem ani nie popierałem, nie wymieniałem konkretnych ustaw. Chciałem dotrzeć do wszystkich sumień.

(...)

Działa czasem Ksiądz Prymas wbrew sobie? Przelamuje wewnętrzny opór, żeby zabrać głos?

Bywa, że działam wbrew mojemu charakterowi. No i owszem, wolałbym przypominać wyłącznie fundamentalne zasady. Przywoływać tylko piękne i... bezpieczne ogólniki. Ale zarazem wiem, że są granice, po przekroczeniu których trzeba powiedzieć *non possumus*. Nie chciałem, żeby moje słowa zabrzmiały mało wiarygodnie czy patetycznie, ale ja naprawdę myślę, że to także kwestia mojego zbawienia. Cięży na mnie określona odpowiedzialność i Bóg mnie będzie sądził z tego, czy nie zgubiłem skarbu złożonego w moich niegodnych rękach.

Poza tym trzeba mieć świadomość, że oczywiście przekaz Kościoła w pierwszym rządzie powinien być pozytywny i jednoczący, jednak nie piętując niektórych zachowań – przyczyniamy się do narastania zła. Do pewnego momentu w naszym kraju można było ograniczyć się do apeli o przyjmowanie uchodźców, ale teraz trzeba też potępiać podsycanie nienawiści. Mówić wprost, że radykalne i brutalne odrzucenie bliźniego jest postawą nieludzką i antychrześcijańską.

Moim zdaniem milczenie Kościoła w takich sytuacjach powodowane jest czymś jeszcze: kalkulacją. Wielu ludzi o poglądach nacjonalistycznych uważa Kościół za swoje środowisko naturalne, aktywnie działa w jego strukturach. I biskupi mogą się wahać: dlaczego mielibyśmy się narażać na ich utratę, skoro i tak mamy tylu wrogów zewnętrznych...

Owszem, można powiedzieć: są nasi, zdomowieni, zaangażowani, publicznie przyznają się do chrześcijaństwa. Kłopot w tym, że realizują jego prywatną wizję. Ja jednak nie zamierzam wyrzucać nikogo z Kościoła. Przeciwnie – jako pasterze musimy wreszcie dojrzeć do świadomości, że ci ludzie potrzebują naszego towarzyszenia i pomocy. W moim przekonaniu za lękiem niektórych ludzi Kościoła przed jakąkolwiek interwencją skrywa się bezradność. Nie bardzo wiemy, jak dotrzeć do tych grup, jak rozmawiać i mądrze im towarzyszyć; jak oczyszczać ich wyobrażenia o wierze i Kościele. Oczywiście należy również klarowne wyłożyć, czego w postawach takich osób nie da się pogodzić z Ewangelią. Ale to nie musi oznaczać automatycznego odrzucenia człowieka jako człowieka.

Rozdział II Wierność Powołaniu

Piątkowy uczeń?

Powiedziałbym: okresowo. W podstawówce dzięki dobrym pedagogom miałem świadectwa z paskiem, w liceum w Toruniu już nie. Wybrałem profil matematyczno-fizyczny, ale moja miłość do algebry i geometrii skończyła się po pierwszej klasie. Co gorsza, wiedza, którą wyniosłem z podstawówki, wyczerpała się w klasie drugiej, a na moje nieszczęście liceum trwało jeszcze dwa lata. Ocena dostateczna z matematyki na maturze jest moim największym życiowym sukcesem. Klasyfikuję to wydarzenie w kategoriach cudu. Pamiętam, jak w pewnym momencie spostrzegłem z przerażeniem, że na sali zostałem sam, bo wszyscy skończyli zadania i wyszli. Drżałem, czy w ogóle zdam.

Natomiast dzięki polonistce i historykowi otworzyłem się na przedmioty humanistyczne, czułem się w nich mocny. Zwłaszcza polonistce wiele zawdzięczam, nie tylko pod względem posługiwania się językiem – wprowadziła mnie też w świat filozofii. Sama, jak mi się wydaje, była agnostyczką.

Ulubiony okres literacki?

Młoda Polska.

To obrazoburcza literatura.

Obrazoburcza, ale nasza polonistka, zanim zaczynała omawiać konkretne dzieła literackie, szkicowała społeczno-historyczny i duchowy kontekst epoki. To było fascynujące, bardzo mnie wciągnęło. Natomiast wiedząc, że należy pan do zdeklarowanych bonapartystów – pochwalę się, że brałem udział w konkursie, którego tematem była myśl napoleońska.

Z jakim efektem: Austerlitz czy Waterloo?

Zdecydowanie Waterloo. Przygotowywałem się tylko z książek Waldemara Łysiaka i profesor historii z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika wyrzucił mnie po pierwszych dwóch, trzech pytaniach. Okazało się, że ta wiedza nie przystawała do rzeczywistości.

Też zaczynałem od fascynacji Łysiakiem, a potem nabrałem pewnego dystansu.

Z lektur pamiętam opasły tom autorstwa słynnego Stefana Kieniewicza, historię Polski czy historię państwa i prawa, którą otrzymałem po konkursie strażackim. Przerastała moje skromne możliwości, ale czytałem dzielnie.

Kłopoty wychowawcze?

Niestety niczym nie mogę się pochwalić. Nawet gdy raz poszliśmy na węgry, ucieczka skończyła się w pobliskim parku, gdzie natknęliśmy się na powracającego profesora. Klasę w liceum miałem spokojną, nic złego się nie działo.

Rodzina była religijna?

Tak bym mógł powiedzieć. Na pewno co niedziela szliśmy do kościoła, ale nie mam doświadczenia wspólnej codziennej modlitwy z rodzicami. W domu mieszkała też babcia i jeszcze siostra ojca, osoba samotna, która się nami opiekowała, gotowała nam, gdy rodzice byli w pracy. Nigdy nie wracało się do pustego domu. I babcia, i ciocia mnie wychowywały, a były bardzo pobożne.

Pamiętam nabożeństwa majowe na skraju wioski; chętnie chodziłem śpiewać litanię loretańską, tekst do dziś znam na pamięć. U nas we wsi nie było kościoła, należeliśmy do parafii Gniewkowo, sześć kilometrów od domu. Jednak na trasie między Toruniem a Inowrocławiem regularnie kursowały pociągi i autobusy, nie było więc problemów z dojazdem. Dzięki temu zostałem ministrantem, potem lektorem.

A przed pierwszą dojrzałą myślą o seminarium? Jaki plan na życie miał nastoletni Wojciech Polak?

Słabo przemyślany. Najpierw chciałem być kierowcą, co wprawiało w zdumienie koleżanki mojej mamy z pracy, które widziały już we mnie przyszłego męża swoich córek. Potem nasza polonistka poprosiła redakcję „Toruńskich Nowości”, żebyśmy na ich łamach mogli się wypowiedzieć, kim chcemy być w przyszłości. Wspomniałem o studiach prawniczych. Na pytanie, skąd taki wybór – odpowiedziałem, że chodzi o niezależność, poczucie wolności. Ciekawa odpowiedź, biorąc pod uwagę, że trwał stan wojenny.

Warto zresztą pamiętać, że do seminarium wstąpiłem w ciemnym okresie lat 80. Po maturze formalnie złożyłem dokumenty na prawo w Toruniu, a prawdziwy wybór przezornie zachowywałem w tajemnicy. Pierwszym znakiem dla moich kolegów i koleżanek, że poszedłem jednak inną drogą, był fakt, że nie zgłosiłem się na egzamin wstępny. Dopiero po latach dowiedziałem się, że z mojego powodu szkolni wychowawcy i dyrektorzy mieli nieprzyjemności z kuratorium.

Kiedy wybrano papieża Franciszka, dziennikarze rzucili się na poszukiwanie jego ukochanych z czasów młodości. Księżę Prymasie, słucham uważnie...

Zakochiwałem się. Na studniówce też byłem. Wspólnie dojeżdżaliśmy do szkoły pociągiem. Był czas na spotkania, spacer i frezje nad Wisłą. I moment jednoznacznego rozstania, co

nigdy się za mną nie ciągnęło. Nie wracałem z nostalgią do tamtych wspomnień. Nie miałem poczucia rozdarcia, ale dokonania uczciwego wyboru.

Rozdział III Wierność Sumieniu

Czym jest sumienie?

Sobór Watykański II naucza, że we wnętrzu człowieka jest takie miejsce, sanktuarium, miejsce najświętsze, w którym dokonujemy oceny tego, co jest moralnie dobre, a co złe. Dzieje się to nie w monologu, ale w dialogu: z Bogiem i samym sobą. Oczywiście z Panem wszechmogącym nie rozmawia się o byle czym. Dialog dotyczy fundamentalnego pytania, co to znaczy iść drogą Boga.

Z kim rozmawia niewierzący?

Sumienie jest doświadczeniem powszechnym. Już Sokrates mówił o daimonionie, mieszkającym w człowieku bóstwie, które ostrzega przed tym, czego robić nie wolno. Oczywiście niewierzący nie powie, że rozmawia z Bogiem, ale na pewno wchodzi w dialog z pewnymi zasadami podstawowymi. Chociażby taką, żeby czynić dobro, a unikać zła. Tę regułę przekładamy potem na konkretne wydarzenia i sytuacje życiowe. Innymi słowy, wciąż poruszając się na poziomie ogólnoludzkim, można powiedzieć, że sumienie nieustannie nam przypomina, co tak naprawdę znaczy być człowiekiem; co robić, żeby zachować swą osobową godność. Sobór podkreśla, że Bóg nasze spojrzenie na człowieczeństwo jakby wydoskonala; w Jezusie Chrystusie możemy się przejrzeć jak w lustrze i zobaczyć, jak być dobrym – więcej, jak być doskonałym człowiekiem.

W artykule z 2005 roku, zatytułowanym *Idź za głosem twego sumienia*, Ksiądz Prymas przypominał naukę św. Tomasza z Akwinu, że sumienie to akt praktycznego rozumu. Jednocześnie zastrzegł Ksiądz Prymas, że mówiąc o sumieniu trudno też wykluczyć pojęcie intuicji. Jak można połączyć rozum z intuicją?

Mam nadzieję, że szczypta filozofii nie przestraszy czytelników, bo za tą z pozoru abstrakcyjną teorią kryją się kwestie fundamentalne dla naszego człowieczeństwa, szczęścia i zbawienia.

A zatem, po pierwsze, sumienie nie jest kalkulatorem czy komputerem, który wedle sztywnych reguł oblicza, co mamy zrobić. Kłopot w tym, że słysząc dziś o rozumie, automatycznie myślimy w kategoriach oświeceniowych, *stricte* racjonalnych.

Po drugie, fenomenologia sumienia, którą zawdzięczamy m.in. Edmundowi Husserlowi, pokazała, że akt rozumu można postrzegać jako swoistego rodzaju wycucie zasad dobra i zła. Z reguły intuicję kojarzymy z mglistymi emocjami, czymś nieokreślonym. Tymczasem, zwłaszcza np. w świetle filozofii Gabriela Marcela, intuicja wiąże się po prostu z głębszym poziomem komunikowania się z rzeczywistością, prawdą czy Bogiem.

Ksiądz Prymas zdaje się ostrzegać, żeby sumienia zbyt nie racjonalizować, sprowadzając tylko do chłodnego kalkulowania. Z drugiej jednak strony – nie utopić sumienia w emocjach, jakichś podszeptach czy dziwnych przecuciach?

Rzeczywiście, sumienie jest czymś pomiędzy. Stanowi moralny osąd czynu. Tu na pewno potrzeba trzeźwego rozeznania, jasnego postawienia sprawy: czy uczyniłem coś dobrego, czy

złego? No tak, ale na podstawie czego dokonujemy oceny? Na podstawie norm, a właściwie pewnych wartości. Na czym jednak opierają się wartości, które wyznajemy? Niby dlaczego np. uważamy, że poza uzasadnionymi przypadkami nie wolno zabijać innych ludzi? Skąd to wiemy?

Bo to piąte przykazanie Dekalogu?

To prawda, ale przed Dekalogiem ludzie też nie mordowali się bez opamiętania. Niestety prowadzili, zresztą do dziś prowadzą krwawe wojny, czasem popełniają straszne zbrodnie, ale generalnie potrafią w miarę zgodnie żyć w swoich wspólnotach. Starożytne ludy, nie znając Dziesięciorga Przykazań, karały za mordowanie niewinnych. Dlaczego?

Pięknie to wyjaśnił inny filozof, Emmanuel Levinas: drugi człowiek nie pozostawia mnie obojętnym. Spotykamy się, patrzę w jego twarz, dostrzegam osobową godność. Czuję, że zabicie bliźniego byłoby czynem złym, niegodnym. W grę wchodzi tu więc nie tylko rozum postrzegany w wąski, oświeceniowy sposób.

(...)

Przed kilkoma laty dziennikarka „Przekroju” napisała reportaż o ludziach, którzy wychowują dzieci poczęte dzięki in vitro. Jedno małżeństwo miało jeszcze kilka dodatkowych, zamrożonych embrionów. Pewna para poprosiła ich o użyczenie tych zarodków. Od razu się zgodzili, żeby inni też mogli cieszyć się z narodzin dziecka. Ale po pewnym czasie zaczęli się zastanawiać: a co zrobimy, jeżeli potem spotkamy dziecko ludzko podobne do jednego z nas? Naszą w gruncie rzeczy córkę albo syna? I odmówili.

Tego powinniśmy się nauczyć: pokazywać wymowne, z życia wzięte przykłady, które ilustrują ogóle normy głoszone przez Kościół. Ja często jako argument przywołuję fakt, że prawo np. w Niemczech zakazuje wykorzystywania embrionów do eksperymentów naukowych. Gdyby to był nic nieznaczący materiał genetyczny, przecież błędem byłoby nie wykorzystać, jak mówią zwolennicy in vitro, zwykłego zlepka komórek w badaniach prowadzonych dla dobra ludzkości. A jednak...

A co w przypadku, gdy np. bezpłodna kobieta pragnie dziecka i jedyną szansę widzi w metodzie in vitro? Mąż bardzo kocha swą żonę, ale jest wierzący i zna nauczanie Kościoła. Jak powinien postąpić?

Na pewno nie powinien żonie oświadczyć: „Rób, co chcesz. Moje zdanie znasz, ja umyvam ręce”. To byłoby nie po chrześcijańsku. Przy tak ważnych decyzjach małżonkowie muszą współdziałać, wspólnie brać odpowiedzialność, przekonywać siebie i wzajemnie się wspomagać. Tu zderza się pragnienie żony z sumieniem męża. Proszę wybaczyć, ale nie podam instrukcji postępowania, bo każda konkretna wskazówka brzmiałaby niezręcznie, wręcz głupio. Mógłbym natomiast z obojgiem usiąść i spokojnie porozmawiać.

Naprawdę rozumiem, że instynkt macierzyński, ojcowski został tak głęboko wpisany w naszą naturę, że człowiek jest w stanie naprawdę wiele poświęcić, żeby to pragnienie zaspokoić. Wbrew temu, co piszą niektórzy niezbyt wrażliwi publicyści katoliccy, to wcale nie musi być kwestia prymitywnego zaspokojenia jakichś urojonych potrzeb. To nie jest kategoria zachcianek, jak dobry obiad w restauracji albo wyjazd na zagraniczną wycieczkę. To są autentyczne dramaty ludzi, którzy nie mogą zrealizować naturalnego pragnienia.

Dlatego w wierze trzeba szukać argumentów, które by rozświetlały nasz punkt widzenia. Kiedyś papież Franciszek, nie nazywając z imienia problemu in vitro, w przemówieniu do katolickich lekarzy zapytał, czy my rozumiemy, że życie jest darem, a nie produktem. Jeżeli bowiem uznamy, że jest darem – w końcu pogodzimy się z faktem, że nie każdy otrzymał dar rodzicielstwa. Dlaczego? Tego nie wiemy. Czasem wprawdzie macierzyństwo da się wymodlić, znamy przypadki poczęć w sytuacjach z punktu widzenia medycyny beznadziejnych. Dlaczego jednak Bóg wysłuchuje jednych próśb, a innych nie? Tego też nie wiemy.

Tu niemal zawsze pojawia się ból, poczucie wykluczenia, może nawet niesprawiedliwości, ale koniec końców musimy przyznać, że daru przecież nie da się wymusić. Tę trudną prawdę możemy przyjąć tylko w postawie zawierzenia Bogu. W przeciwnym razie ulegniemy pokusie, żeby życie wyprodukować. I temu właśnie Kościół się sprzeciwia.

Rozdział IV - Wierność Kościołowi

Na jakim etapie przeciwdziałania pedofilii i walki z nią jest Kościół w Polsce?

Na początku drogi, którą będziemy iść z żelazną konsekwencją. W 2014 roku przyjęliśmy procedury i wytyczne, które potwierdziła Stolica Apostolska. Mówiąc w skrócie: priorytetem jest ochrona dzieci i młodzieży i zero pobbłażania wobec sprawców. Z kolei w 2017 roku, zgodnie ze zmienionym prawem świeckim, wszelkie przypadki zobowiązani jesteśmy zgłaszać do państwowych organów ścigania. Tu nie ma żadnych okoliczności łagodzących: kto nie zgłosi przestępstwa, ponosi odpowiedzialność karną. Warto też pamiętać, że w wielu punktach przepisy kanoniczne są surowsze niż cywilne, np. w Kościele przestępstwa pedofilskie się nie przedawniają, a próg wiekowy ofiar wyznaczono na poziomie nie piętnastu, ale osiemnastu lat.

Tyle kluczowe przepisy, które są precyzyjne. Teraz musimy pracować, nieustannie i cierpliwie, nad głęboką i trwałą zmianą mentalności...

...no właśnie. Bo prasa nadal wyławia przypadki, gdy władze kościelne działały opieszale bądź dopuszczały do sprawowania funkcji duszpasterskich księży, którzy dopuszczali się molestowania.

Nawet jeden taki przypadek to zawsze jeden przypadek za dużo. Przywoływane zaniedbania z reguły pochodzą jednak z lat wcześniejszych. Obecnie procedury przynoszą efekty. Musimy też pamiętać, że diecezje i zakony dysponują daleko idącą niezależnością, podlegają wyłącznie papieżowi. Powinny one stosować się do wytycznych, ale niektóre czynią to z pełnym zaangażowaniem, a inne zatrzymują się na pewnym koniecznym minimum. To trzeba zmienić. Zresztą powiedzmy sobie szczerze: zmiana mentalności musi nastąpić w całym społeczeństwie, nie tylko w Kościele. Jeszcze kilkanaście lat temu świadomość tego, jak dewastująca jest pedofilia, była w Polsce mizerna. Na niepokojące sygnały nie zwracali uwagi krewni, sąsiedzi, nauczyciele, trenerzy... Dlatego nie tylko do ludzi Kościoła chciałbym zaapelować: nie lekajcie się reagować!

Jak zmienić mentalność?

Przez edukację, kampanie społeczne, własny przykład. Podkreślam: Kościół jako pierwszy powinien rozliczyć się z przestępstw pedofilskich, nie oglądając się na innych. Do skruchy, pokuty i zadośćuczynienia wzywa sam Chrystus. Poza tym rozumiem, że przestępstwa seksualne w przypadku Kościoła są obciążone dodatkowym balastem, bo ujawniają bolesny rozdział między nauczaniem płynącym wprost z Ewangelii – a brudem i ohydą konkretnych czynów. Ale popełnimy niewybaczalny błąd, przed którym już przestrzegają eksperci, jeżeli problem ograniczamy wyłącznie do Kościoła. Ze statystyk wynika, że miażdżąca większość przestępstw seksualnych wobec dzieci dokonuje się w rodzinach; sprawcami są bliscy, krewni i znajomi. Koordynujący w naszym Kościele działania na rzecz ochrony nieletnich, ojciec Adam Żak, jezuita, podkreśla, że niewiele osiągniemy, jeżeli programem prewencyjnym obejmujemy np. wyłącznie kilkadziesiąt szkół katolickich – a poza jego granicami pozostaną tysiące państwowych i prywatnych podstawówek, techników i liceów. Dobrze by się stało, gdyby impuls wyszedł z Kościoła, ale rozprzestrzenieć musi się bardzo szeroko. Trzeba zaproponować konkretną strategię społeczną.

(...)

Przez ostatnie lata bez przerwy pobrzmiwały jeremiady, jak strasznie katolicy i Kościół w Polsce są tłamszeni i prześladowani. Porównując naszą sytuację do chrześcijan w Syrii, gdzie mordowani byli całymi rodzinami – trudno nie zdiagnozować u nas hysterii.

To absurd twierdzić, że po 1989 roku mieliśmy w Polsce do czynienia z prześladowaniami ludzi wierzących. Nauczmy się ważyć słowa. Zdarza się, że katolik ze względu na wiarę spotyka się np. z nieprzyjemnościami w pracy. Nierzadko w mediach Kościół pada ofiarą niesprawiedliwych, napastliwych ataków. Ale to nie ma nic wspólnego z prześladowaniami we właściwym sensie tego słowa. Jest zasadnicza różnica między histerykiem, który ekscytuje się swoim urojonym męczeństwem, a świadkiem Chrystusa, który rozumie, że za swą postawę czasem musi zapłacić codziennymi przykrościami.

Tę przesadę po części podsycą się politycznie, po części taka jest ludzka natura – przyjemnie jest występować w aureoli męczennika, zwłaszcza gdy niewiele albo wręcz nic nas to nie kosztuje. Dużo większym wysiłkiem jest dochować Jezusowi wierności w rzeczach małych, w miłości bliźniego czy błogosławieniu tym, którzy nam złorzeczą. Ale rolę odgrywa tu coś jeszcze: nasz Kościół boryka się z pokusą, natrętnie podsuwającą myśl, że my musimy Jezusa obronić. To nasza główna, niemal jedyna misja – bronić Chrystusa! Tyle że On tego nie potrzebuje. On chce, żebyśmy z Nim byli, a nie bili w Jego imię.

Powtarzamy wciąż błąd Apostołów z ostatnich godzin przed męką ich Mistrza. Jezus prosił tylko o jedno: żeby czuwali razem z Nim w Ogrójcu. Jak długo to mogło trwać? Kilkadziesiąt minut, kilka godzin. Tylko tyle. Nie prosił, żeby w samobójczym ataku rzucili się na uzbrojoną straż, poszli do więzienia albo dźwigali krzyż. Raz poprosił ich o drobną rzecz, a oni poszli spać.

Kiedy przysła straż, Piotr sięgnął po miecz.

Odciał nawet Malchusowi ucho. To gorzki paradoks: w obronie Jezusa potrafimy sięgnąć po miecz, pokonać strach i zdobyć się na bohaterstwo, ale śpimy, gdy On naprawdę nas potrzebuje. To nasza ludzka słabość: kochamy się w szumnych deklaracjach i heroicznym gestach, ale codzienny wysiłek w imię miłości nuży nas i odstręcza. Tymczasem Chrystus uzdrawia Malchusa, a Piotrowi każe schować miecz do pochwy. Jakby chciał powiedzieć, że nie tędy droga. Kur nie zdąży trzy razy zapiać, a Piotr, nie tak dawno gotowy do walki na

śmierć i życie, trzy razy zaprze się Nauczyciela. I tu pojawia się drugi paradoks, tym razem piękny i ewangeliczny: dopiero upadek pozwala Piotrowi zrozumieć, co to znaczy miłować Jezusa. Niestety, często właśnie w postawach hałaśliwie wojowniczych, typowych dla samozwańczych obrońców Chrystusa – ukrywa się niezdolność dostrzeżenia własnych słabości. Powtarzam: wolimy paradować w zbroi, niż założyć wór pokutny.

Mówiliśmy o pysze, która stanowi wielkie zagrożenie dla naszego Kościoła i narodu. Ta matka wszystkich grzechów przejawia się nie tylko w przekonaniu, że zawsze mam rację, ale też w poczuciu bycia bezgrzesznym, wręcz krystalicznym. Uciekamy w ten sposób od trudu autentycznego nawrócenia, które nie dokonuje się raz w życiu, ale wymaga nieustannego zmagania, podnoszenia się z upadków. Podczas jednego ze spotkań z więźniami papież Franciszek wygłosił przemówienie, którego początek zabrzmiał zaskakująco twardo: czego ode mnie oczekujecie? Przecież nie otworzę bram więzienia i nie wypuszczę was na wolność. Nie zamierzam wam też powiedzieć, że w waszym życiu nic strasznego się nie stało, że jesteście niewinni. Bo to nieprawda. Przychodzę, bo sam jestem grzesznikiem potrzebującym nawrócenia i chcę wam ogłosić, że Jezus obdarza łaską i zbawia. Skoro wydarzyło się to w moim życiu, to znaczy, że możliwe jest również w waszym.

(...)

Krzyż powinien wisieć w Sejmie?

Powinien. Przede wszystkim jako memento dla posłów, którzy przyznają się do Boga i wiary, aby nigdy nie przestali się nawracać. Wchodząc na mównicę i patrząc na krzyż, wierzący parlamentarzysta powinien pamiętać, że każde jego wystąpienie poniżające drugiego człowieka, oszczercze czy zakłamanie będzie obrazą Tego, który na tym krzyżu umarł. Każde nienawistne słowo będzie gwoździem wbitym w Najświętsze Ciało. I jeżeli chociaż jednemu posłowi serce drgnie na widok ukrzyżowanego Jezusa i nieco się opamięta – obecność krzyża na sali obrad będzie miała sens.

Nie zawstydzają Księdza Prymasa okoliczności jego zawieszenia przez dwóch posłów w październiku 1997 roku – pod osłoną nocy, w tajemnicy przed innymi parlamentarzystami?

To było niefortunne, ale w dużo większym stopniu bolą nienawistne wystąpienia w obliczu świętego znaku. Proszę też jednak zauważyć, że przez dwadzieścia lat nikt nie ośmielił się sejmowego krzyża zdjąć ze ściany. Moim zdaniem należy to docenić. Może niewierzący posłowie uznali, że to element tradycji naszego narodu i państwa, a może postanowili uszanować fakt, że dla wielu ich koleżanek i kolegów to ważny symbol i znak obecności Ukrzyżowanego.

Dotknęliśmy sedna: wzajemnego szacunku, który przejawia się także w gotowości do ustępstw. Poruszając i pouczając pod tym względem historię usłyszałem od pewnego polskiego Żyda. Kiedy poszedł do szpitala odwiedzić ciężko chorą żonę, od razu zauważył wiszący w sali krzyż. Postanowił, że po odwiedzinach zażąda jego usunięcia, w końcu to placówka publiczna. Po chwili zobaczył jednak, że leżąca obok starsza kobieta straszliwie cierpi, ale co chwilę podnosi wzrok, patrzy na krucyfiks i na jej twarzy pojawia się ulga. Żyd wyjaśniał: „Proszę mnie dobrze zrozumieć: miałem uzasadnione prawo zażądać od dyrektora ściągnięcia tego krzyża, ale zrezygnowałem. Bo w tym przypadku potrzeba cierpiącego człowieka stała się ważniejsza niż moja racja”.

Różne konflikty wokół wiary, Kościoła i krzyża są tym dramatyczniejsze, że nie potrafimy usiąść, popatrzeć w oczy drugiego człowieka, zrozumieć jego postawy i uszanować wrażliwości. Raz w imię wyższych wartości mogliby ustąpić jedni, raz drudzy. Kiedy pod koniec lat 80. wybuchł spór o klasztor karmelitanek położony tuż przy drutach Auschwitz – można było upierać się przy stanowisku, że o przenosinach nie ma mowy. Padały argumenty, że przecież w niemieckim obozie zamordowano nie tylko Żydów, lecz również kilkadziesiąt tysięcy Polaków i katolików. Mieliśmy uzasadnione prawo tam być. Jednak święty Jan Paweł II, który sam w 1979 roku odprawiał Mszę świętą na terenie Birkenau, zdecydował się wpłynąć na zakonnice, aby przeprowadziły się w inne miejsce w Oświęcimiu. Nauczmy się, że dialog nie oznacza kapitulacji, a życiową ambicją chrześcijanina nie jest wywalczenie tego, co mu się należy.

(...)

To dla Kościoła fundamentalny problem: powoli pęka łańcuch, dzięki któremu wiarę przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Obserwujemy niebezpieczne przerzucanie odpowiedzialności za wychowanie w wierze z rodziców i krewnych na księży, zakonnice i katechetów. To przynosi fatalne skutki, bo trudno zastąpić, zwłaszcza na masową skalę, unikalny charakter chrześcijańskiego dojrzewania w rodzinnym domu, zwłaszcza kilkupokoleniowym. Sami duchowni przyczynili się nieco do zaistnienia tego problemu, bo przez długie lata skupiali się w duszpasterstwie na dzieciach i młodzieży, pomijając dorosłych i rodziny. W Gnieźnie jedną z największych parafii kierował ksiądz, który już dawno ostrzegał: „Nam się coś pomieszało. Pan Jezus nie uczył dzieci. On dzieci błogosławił, a nauczał dorosłych”. Idąc tym tropem, tak ustawił całe duszpasterstwo, że przed Pierwszą Komunią koncentrował się na przygotowaniu nie dzieci, ale ich rodziców. Kiedyś arcybiskup Muszyński na spotkanie dziekanów zaprosił ojca i matkę z parafii wspomnianego księdza. Do dziś pamiętam świadectwo tamtego mężczyzny: „Proszę księży, nie oszukujmy się. Na początku pomyślałem: czego ksiądz w ogóle ode mnie chce. Ma wziąć moje dziecko i przygotować, a mnie zostawić w świętym spokoju. To jego zadanie. Ale nie miałem wyjścia i dziś chcę podziękować nawet nie za wiedzę, ale za to, że musiałem pół godziny w tygodniu spędzić z moim dzieckiem. Dopiero teraz zrozumiałem, że jestem odpowiedzialny za jego pełne wychowanie, również religijne”.

Tyle że dziś mamy nowe, jeszcze poważniejsze problemy. Niektórzy np. zalecają, aby dziecko przyjmowało pierwszą Komunię razem z rodzicami. To bardzo prosty, ale piękny gest, który porusza serca, zbliża rodzinę i umacnia wiarę. Jednak tak szybko rośnie liczba związków niesakramentalnych, że dla wielu dzieci stało się to trudne. Bo jak – koledzy i koleżanki idą do ołtarza i przyjmują Eucharystię razem z rodzicami, a ja nie... I zamiast wspaniałego przeżycia, może nastąpić upokorzenie. Liczę jednak na wrażliwość samych rodziców, którzy staną na wysokości zadania i mimo wszystko będą towarzyszyć dziecku, rozbudzając w nim głód Eucharystii, chociaż sami tego głodu nie mogą zaspokoić. To ważne, żeby zawsze szukać bliskości Boga, bez względu na życiowe okoliczności.

Jaki wniosek należy wyciągnąć z tych przemian?

Musimy mądrze, bez lęku, w pokorze odczytywać znaki czasu i przygotowywać się na głębokie zmiany w dotychczas ustabilizowanym funkcjonowaniu naszego Kościoła. Przykładowo u nas w archidiecezji planujemy stworzyć dwa ośrodki przygotowania do chrztu dla dorosłych. Na razie to zaledwie kilka przypadków rocznie, ale na pewno będzie ich

przybywać. Nie stoję też jeszcze przed perspektywą sprzedaży nieużytkowanych kościołów, jak to od lat dzieje się na Zachodzie, ale niedawno rozpocząłem już przygotowania do łączenia parafii. Na piśmie poprosiłem dziekanów o wskazanie, gdzie byłoby to konieczne. O przyczynach już wspominaliśmy: zaczyna brakować księży, a wieś się wyludnia. To klasyczny efekt domina. Na początek w miejscowości zamykają szkołę i pocztę, następnie kasują połączenia autobusowe – i odpływ młodych się nasila. A potem słyszę, jak proboszcz mówi: „Księdzem jestem w piątek, sobotę i niedzielę. Przez resztę dni jestem ogrodnikiem, koszę trawę i przycinam krzewy, bo w kościele nie ma ludzi”.

Tyle mówi się o bogactwie Kościoła, tymczasem przybywa parafii borykających się z kłopotami finansowymi. Liczba wiernych spada, taca staje się coraz skromniejsza, a trzeba płacić rachunki za wodę, światło, gaz. Dziś ksiądz nie może się ludzić, że tak czy siak się utrzyma. Mówiąc pół żartem, ale i pół serio może to mieć nawet pozytywny wpływ na poziom duszpasterstwa. Jeżeli proboszcz i wikariusze nie zatroszczą się o wiernych, do drzwi plebanii może zapukać komornik.

Wybrane fragmenty książki „Kościół katoludzki. Rozmowy o życiu z Ewangelią”
Marek Zając, Wydawnictwo WAM